

Kot jako maszyna nie całkiem prosta

Gdzieś we wszechświecie koty buduje się z układów scalonych, „naciepanych” w nich modułów mruczących, organów miauczących i sensorów świetlnych. Konstruktywistom, mechanikom i futurystom nie takie rzeczy się śniły...

W odległej przeszłości zdarzyło się, że ludzki wirus grypy zmutował się z kocim. Po krowach, kaczkach, łosiach i reniferach świat nie chciał więcej ryzykować i powybijał wszystkie milutki, kocie futrzaki (co za różnica, że to te parchate roznoszą toksoplazmozę i inne parchy?). Po wielu wiekach **udało się odtworzyć model behawioralno-facjatywny kota**; oparto się na wyjątkowo szczegółowych danych. To mityczne stworzenie miało cztery pary nóg (dwie prawe, dwie lewe, dwie przednie i, naturalnie, dwie tylne), **jego miękkość wskazywała na brak kręgosłupa**; zastosowano tu alternatywę – chitynowy pancerz obleczony jedwabistym futerkiem. Chciano wdrożyć w życie plan odnowy gatunku *felis domesticus*. Niestety, genetyka nie przychodziła z pomocą. Tkanki kotowatych osiągały na czarnym rynku zawrotne ceny, produkcja kilkusetkrotnie przewyższała zyski, **więc zaprzestano akcji „Kocia Wątróbka”**.

Teraz już tylko wszystko zależało od bio-inżynierów i robotyków. Ci pozbawieni spontaniczności i życiowej energii naukowcy postawili na funkcjonalność, choć nie mieli pojęcia, co właściwie będzie to oznaczać w przypadku kotów.

Do układu scalonego dociepano moduł mruczący, organ miauczący (zdaje się, że pominięto kluczową sprawę – *Co tak naprawdę oznacza miauczenie?* W czasach, gdy ludzie porozumiewają się telepatycznie, przestali używać onomatopei) i dwa połączone szeregowo sensory świetlne. **I jeszcze tylko projekt pancerza...**

Musimy sobie zdać sprawę, że postęp gwałtownie zredukował bioróżnorodność. Stąd, opierając się jedynie na starodrukach i podaniach, nasunęło się wiele wniosków, które niejaki **Pikle Wsłoiku** zebrał i opublikował. Ludzkość dowiedziała się między innymi o istnieniu latających myszy (*gackus domesticus*) czy latających myszoludzi (*batmanus humanoidus*), stąd prosta droga do wyodrębnienia kotowatych: z puszystym ogonkiem (*vieviurus ingentis*), z gustownym kołnierzykiem (lew z misiowymi uszami i w galowym stroju) i szpica miniaturowego.

Z takich to poszlak wyłonił się *jako taki* obraz. Stworzono matrycę, z której wychodziły roboistoty o szpiczastych uszach, długim ogonie, biegające, skaczące i na kolana wskakujące. **Niemal od razu przez lud przeszła fama**. Nawet reklama byłaby niepotrzebna (ludzie dawno już nauczyli się ochrony przed sugestią podprogową i zagrywką psychologiczną). W niedługim czasie każdy chciał mieć robokota (nie nadano im niestety chwytliwej nazwy rynkowej; przypuszczalnie naukowcom brak było weny, co potwierdzili numerami serii: FLD0938 etc.).

Rozpoczęto masową produkcję z małymi modyfikacjami umaszczenia (najpierw wszystkie były metaliczne, co wprowadzało spore zamieszanie).

I tak człowiek oswoił się z nowym kotem. Przyzwyczajał się pomału do świecących w nocy oczu, miauczenia, gdy stwór głodny i do dziwnej przypadłości (śpi to to **trzydzieści godzin na dobę**; resztę czasu odpoczywa). Przez myśl mu nawet nie przeszło, że już niebawem nastąpi *armageddon*...

Wszystko zaczęło się zaraz po tym, gdy **na rynek wypuszczono model FLD1203**. Z początku na kiwające się uszy i zmienione (jakby żywsze) spojrzenie nikt we **Wspólnocie Ośmiu Planet** nie zwrócił uwagi. Przeoczono tak małe anomalie behawioralne. Okazało się to jednak brzemiennie w skutkach.

Z początku właściciele zachwycali się niezwykłą miękkością ruchów u niektórych zwierzaków (inne były przekarmione, przez to zabawnie niezdarne), intrygował ich skrajny *autyzm*, jak mniemano, zainstalowany w wersji podstawowej (**w rzeczywistości nikt nie myślał nawet, by obciążać chorobą umysłową robotzwierzę**).

Przeciwnicy technicznych nowinek, w szczególności hodowcy psów (te bowiem, choć już zmutowane nieco, przed rozpoczęciem produkcji FLD były człowiekowi najbliższe), dopatrzili się kilku nieścisłości w stylu: **robotkoty nie mają snów, więc pewnie nie mają i duszy, są fałszywe i nie mają palców**. Oczywiście największe zamieszki wywołała kwestia palców, choć równie ważną sprawą było łączenie faktów i wniosek, jakoby roboty miały swą wrodzoną świadomość i niezależność.

Nowo powstały dział reklamacji zarzucony był listami od nabywców kotorobotów, jakoby *nie*

tego się spodziewali. Jak się okazało, każdy kot stał się inny od drugiego robota. Ciężko było w naszym poukładanym świecie upilnować tak nieprzewidywalnych, chaotycznych stworzeń.

Ogłoszono stan wyjątkowy. Wizytatorzy ze Wspólnoty Ośmiu Planet postanowili zapobiec ewentualnemu kataklizmowi i wystosowali list otwarty o **utyliczacji wszystkich osobników FLD**. Niechciane koty miano wyrzucać na bruk, by służby porządkowe mogły je zatłuc.

Stare podania mówiły o XXI wieku i kotach buszujących po śmietnikach, parchatych i poturbowanych. Dzisiaj takich już się nie uświadczy. Być może dlatego, czując lodowaty powiew rychłej masakry, ludzkość oprzytomniała. Sam Pickle Wsłoiu opublikował esej na temat kochanych, urokliwych, miłych FLD1203, sztuk dwie, z którymi zaczęły porozumiewać się telepatycznie. Mimo osobliwych zachowań kotorobotów zaakceptowano ich humory, przymilanie się na przywitanie i czułe wbijanie pazurów w nogę. Można powiedzieć, że w jakiś niewytłumaczalny dla nas sposób ludzie pokochali FLD i od tej pory nazywali je po prostu **kotami**.

Nie było co prawda happy endu, gdyż wiele z robotot poszło na przemiał (z robocich części robiono zazwyczaj baterie słoneczne i podzespoły kapsuł kosmicznych). Jednakże większość **kotów** (naprawdę niechętnie jeszcze używam tej nazwy jako *novum*) zatrzymana została przez właścicieli i wiedzie dostatnie życie (co inteligentniejsze osobniki dostały prawo dziedziczenia po domownikach, a obecnie, nie bacząc na zaszczości, Wspólnota pracuje nad **uchwałą pozwalającą pilotować kotom mniejsze maszyny**).

Jakby nie patrzeć, koty czczone były od Starożytności. Wynika z tego, iż musiały mieć w sobie **coś naprawdę magicznego**.

Nasza populacja odkrywa to „coś” na nowo...